

Na podstawie prawdziwej historii

Łzy Sybiru



Dorota Pietruszka



Łzy Sybiru

Copyright © by Dorota Pietruszka 2025

Copyright © by Wydawnictwo Ostre Pióro 2025

Wydanie II

Szczecin 2025

ISBN: 978-83-68498-21-9

e-ISBN: 978-83-68498-22-6

Redakcja:

Ewa Hoffmann-Skibińska

Korekta:

Katarzyna Kurowska

Monika Całka | Kropka i Spółka

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | kaes-seredin.pl

Konsultacja:

Kazimierz Korczyński

Zdjęcie na okładce:

Dorota Pietruszka

Projekt okładki:

Katarzyna Seredin-Kolarczyk | kaes-seredin.pl



Wydawnictwo

Ostre Pióro

www.ostre-pioro.pl

Dorota Pietruszka

Łzy Sybiru

OD AUTORKI

To nie jest książka biograficzna.

To opowieść o odwadze i wytrwałości człowieka, który mimo wszystko nie ugiął się pod ciężarem losu.

Na tych stronach chcę oddać głos tym, którzy już nie mogą mówić.

Pragnę być echem ich śmiechu, płaczu, nadziei i rozpaczy.

Dzięki tej książce mogę podkreślić sens ich cierpienia i determinacji, która nakazała im wytrwać w najcięższych chwilach życia.

Niech każda linijka tej książki będzie świadectwem siły ludzkiego ducha, siły do przetrwania w najbardziej niesprzyjających warunkach i niezmierzonej zdolności do odnalezienia światła w ciemności.

Aby pamięć nie zaginęła i nie została przysypana śniegiem Sybiru, ale żyła i uczyła kolejne pokolenia!

Moim dzieciom.

PROLOG



Syberia jest słowem, które do dziś budzi w ludziach lęk i niepokój. To rozległy obszar geograficzny rozciągający się od wschodnich krańców Rosji aż po północną Azję. Surowy klimat, długie zimy i krótkie, chłodne lato czynią te tereny wyjątkowo nieprzyjaznymi dla człowieka.

Natomiast Sybir nie jest tylko nazwą regionu. To pojęcie historyczne głęboko zakorzenione w polskiej pamięci. To miejsce zsyłek, dokąd w czasach caratu, a później Związku Sowieckiego, trafiali Polacy zesłani za swoją wiarę, tożsamość, pochodzenie, niezależność.

To kraina niezliczonych tragedii, ludzkiego cierpienia i bezsilności wobec brutalnej maszyny władzy. To miejsce, gdzie życie traciło wartość, człowiek przestawał być istotą ludzką, a jego tożsamość określał nadany mu numer.

Sybir oznaczał wygnanie. Stratę wszystkiego, co bliskie: domu, rodziny, języka, godności. Tam, gdzie kończyła się nadzieja, zaczynał się codzienny bój o przetrwanie.

Zsyłki były jednym z najbardziej bezwzględnych narzędzi terroru sowieckiego. Tysiące Polaków trafiały do bydłych wagonów. Wywożono ich w nieznane: do Kazachstanu, do Workuty, Kołymy, Tajszetu. Wiele z tych osób nie przeżyło podróży.

Inni dotarli, by latami walczyć o każdy dzień: w głodzie, zimnie, chorobie i upokorzeniu.

Niektórzy umierali, nie doczekawszy nawet godnego pochówku, grzebani naprędce w zmarzniętej ziemi, bez krzyża, bez imienia. Inni przeżyli, ale z raną w sercu, której nie uleczył czas. Często milczeli przez dekady. Czasem tylko szeptali historię.

Tę książkę napisałam dla Nich i dzięki Nim.

Miałam niesamowite szczęście osobiście poznać świadków tamtych wydarzeń, rozmawiać z nimi, słuchać ich historii opowiadanych przez łzy i śmiech, pobyc z nimi w milczeniu, które wyrażało więcej niż słowa.

Oni mi zaufali. Otworzyli przede mną najgłębsze zakamarki pamięci.

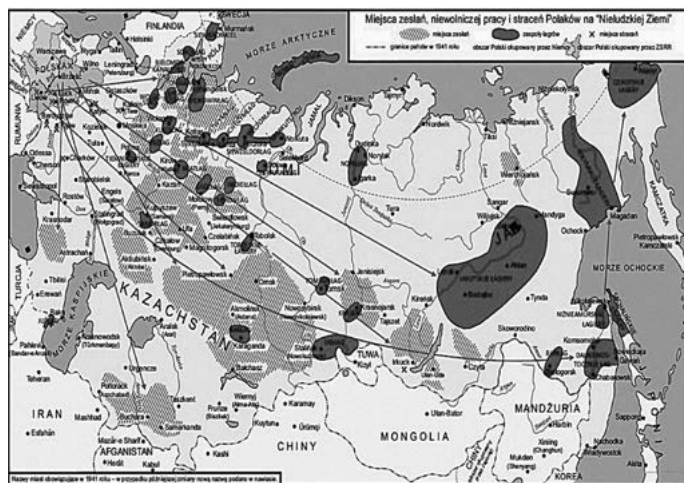
Nie jestem narratorką tej opowieści. Tę rolę oddałam Eugeniuszowi Ziarnie¹, który jako niespełna czteroletni chłopiec został zesłany wraz z rodziną na Sybir w 1940 roku. To jego oczami patrzymy na przedstawiony świat, który nie powinien nigdy istnieć. To jego głosem próbuję opowiedzieć to, co

¹ Eugeniusz Ziarno, syn Jana i Marii, ur. 1 października 1936 r. w Wolicy Drewlańskiej (pow. Kamionka Strumiłowska, woj. Lwowskie). Deportowany 10 lutego 1940 r. do Archangielskiej Oblaści (rej. Czerepków, pos. Reczuska), następnie zesłany do Saratowskiej Oblaści (rej. Pugaczow, pos. Staraja Porubioszka), a później znalazł się w Kazachstanie, w Alma-Ata Oblaści (rej. Karakał, koł. Iwanowski). Wrócił do kraju 19 marca 1946 r. (Wszystkie przypisy pochodzą od redaktora).

niewyobrażalne. Jego milczenie stało się krzykiem historii.

Nie jest to suchy reportaż, ale też nie poetycka fantazja. To powieść oparta na prawdziwych wspomnieniach, na żywej pamięci i emocjach tych, którzy przeżyli. To próba ocalenia od zapomnienia ich historii, bo są one naszym wspólnym dziedzictwem. I ostrzeżeniem.

Wierzę, że opowieść Eugeniusza właśnie w tej formie – zbalansowanej między literackim obrazem a prawdą wspomnień – poruszy serca czytelników.



Mapa zwozów, niewolniczej pracy i straceń Polaków na nieludzkiej ziemi.
Źródło: https://sybiracyzg.pl/?page_id=16327, [dostęp: 30.07.2025].

*Do ciebie piszę, młody człowieku,
Żeby Cię przestrzec o zakłamaniu.
Bo może słuchasz, bo może czytasz?
Nie wiem, czy zawsze prawdę wyczytasz?*

*Czy Ty byłeś w Magadanie?
O Workucie coś słyszałeś?
Ja nie byłam, lecz Ci powiem,
Co mówili ci, co z Kołymy powrócili.*

*To wszystko „Nieludzka Ziemia”
Daleka północ, daleki wschód
To punkt rozstań – do Gułagów,
Na zniszczenie nas – Polaków.*

*Wielka Tajga, same lasy,
Wszystko było przeciw Tobie,
Bóg, przyroda, no i Człowiek (...).*

*O Katyniu i Miednoje
To na pewno już słyszałeś.
Tam jak kwiatów jest
Usłanych – oficerów polskich grób (...).*

*Żołnierz polski z wielkim sercem,
Szedł do walki pobić wroga,*

*Ale też krwawiło serce,
Na bezmyślność, na szyderstwo (...).*

*Nikt już teraz nie napisze,
Że to Polak – syn tej ziemi,
Walczył szczerze, oddał życie.
Jego walka. A zwycięstwo?*

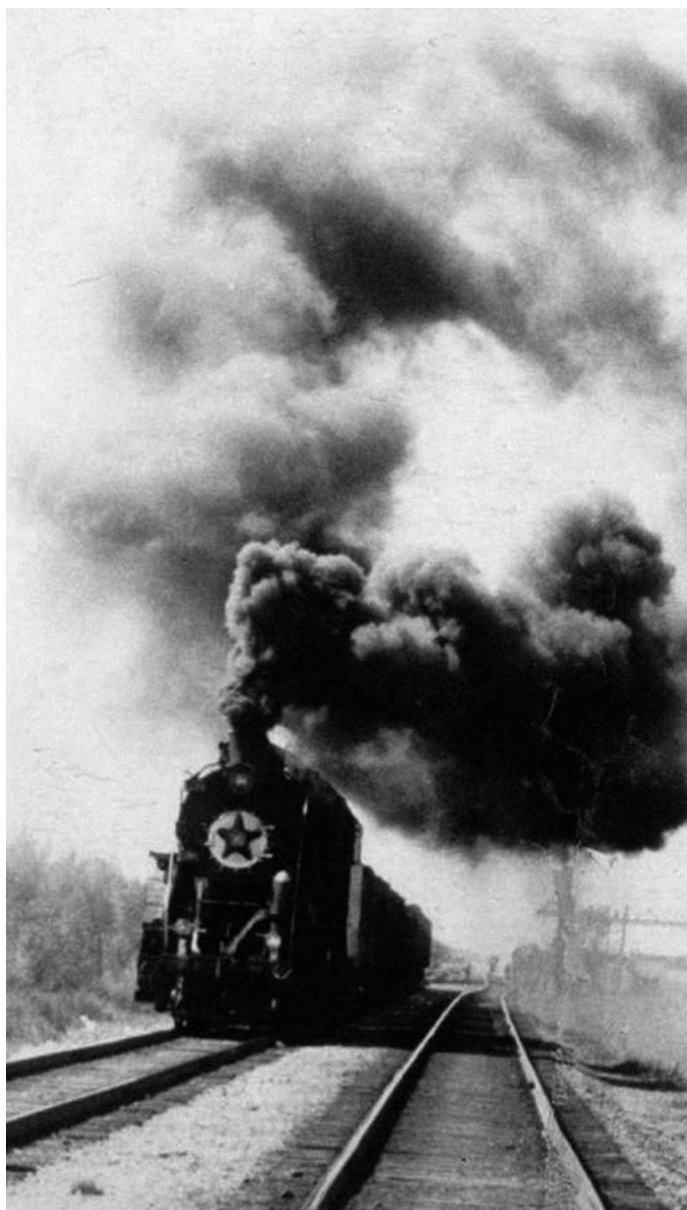
*Trzeba przeżyć tę mordęgę...
Całe, wielkie poniżenie,
Mieć nadzieję, zebrać siły,
Na wątpliwe ocalenie (...).*

*To wszystko było, to już minęło,
Lecz trzeba wiedzieć, no i pamiętać!
Gdzie była prawda.
Gdzie fałsz, a gdzie uznanie?*

Do Ciebie mówię, Wielki Tułaczu!

*Żeś jest szczęściarzem – boś przeżył.
Żeś jest szczęściarzem – boś się pogodził.
A teraz wołaj głośno do Boga,
Żeby nam tego nigdy nie wrócił.*

² Elżbieta Leopold, fragmenty wiersza *Nieludzka Ziemia*, <http://www.sybiracy2010.sybiracy.pl/poezje/000004.html>, [dostęp: 21.07.2025]. (Zachowano oryginalną pisownię).



Droga na Sybir, rys. Dorota Pietruszka

CZĘŚĆ I

POCZĄTEK



*Przeciągnęli go potem pod ścianę,
do kąta,
przyrzucili płaszczem bez guzików,
leżał sztywny i stygł...
Kto by sobie w transporcie
Trupem głowę zaprzętał?
Nikt³.*

³ Beata Obertyńska, W bydlęcym wagonie, <https://przystanekhistoria.pl/pa2/tematy/zbrodnie-sowieckie/77797,Poetka-w-lagrach-Beata-Obertynska-18981980.html>, [dostęp: 21.07.2025].

Beata Obertyńska (1898-1980), polska poetka i pisarka. W 1940 r. aresztowana i więziona przez NKWD, zesłana do łagru. W 1942 r. ewakuowała się wraz z armią Andersa do Iranu. Przeszła cały szlak bojowy Armii Polskiej. Po wojnie osiadła w Londynie.

Była nas piątka: Staszek, Danusia, Ala, ja i najmłodsza Oleńka.

O świcie 10 lutego 1940 roku obudził nas ojciec. Był już ubrany, czuły jak zwykle, lecz dziwnie blade. Kiedy pomagał mi się ubierać, ręce mu drżały. Mój starszy brat Staszek ogarnął się sam. Spytał tylko, czemu tak wcześnie wstajemy.

W salonie panował niepokojący ruch. Ojciec powiedział, że Mama z Oleńką, naszą najmłodszą siostrą, już czekają gotowe, że przed nami daleka wyprawa i przeżyjemy nie mniejsze przygody niż bohaterowie naszych ulubionych opowieści – Staś i Nel. Domyślił się, że to nie będzie cudowna podróż.

Wszedłszy do salonu, zastałem matkę stojącą na środku z Oleńką na rękach. Przy kanapie niania, boso i w samej koszuli, pakowała do węzełków nasze ubrania. W drzwiach stali dwaj żołnierze z karabinami, a przy stole pewien cywil przeglądał z zimną precyzją nasze papiery, szkatułkę z biżuterią i oznaczeniami ojca. Staszek stanął obok mnie, ścisnął mi rękę i po cichu przygryzał wargi, aby się nie rozpłakać.

A ja od ogarniającego mnie strachu nawet płakać nie mogłem.

Cywil pośpieszał ojca. Na pytanie, czy może pożegnać się z rodziną, skinął na jednego z żołnierzy,

który bez wahania stanął między nami a ojcem, rysując ostre granice naszej ostatniej wspólnej chwili. Matka ze szlochem rzuciła się do ojca, lecz enkawudzysta brutalnie ją odepchnął. Natychmiast podniosła się wrzawa, a najgłośniej zawodziła nasza niania, która teraz zachowywała się bardziej jak dziecko niż opiekunka.

Żołnierz bezceremonialnie popchnął ojca w stronę drzwi. Ojciec odwrócił się i powiedział do Mamy ze łzami w oczach:

– Stefciu, wybac mi, że tak się stało. Wytrwamy i jeszcze usiądziemy razem pod naszym starym orzechem. Ty zrobisz herbatę, a ja naprawię ten przeklęty płot, co zawsze się przewracał. – Uśmiechnął się blado. – Ja wiem, że jesteś dzielna. Pilnuj dzieci...

A gdy zwracał się do Staszka, jego głos stał się pewniejszy, bardziej ojcowski:

– Ty jesteś teraz najstarszym mężczyzną w domu. Opiekuj się kobietami...

Urwał. Spojrzał na nas wszystkich po kolei, jakby chciał zapamiętać nasze twarze. W jego oczach widziałem strach, miłość i bezsilność. Zatrzymał wzrok na malutkiej Oleńce skulonej w ramionach Mamy i wyszeptał:

– Przebac mi...

Opuścił pokój w asyście żołnierza o twarzy pozbawionej wyrazu, zostawiając za sobą echo słów, które już na zawsze miały wybrzmiewać w naszych sercach: „Pamiętajcie, dzieci, że cokolwiek was spotka, nie zapominajcie, że jesteście Polakami, bo tylko prawdziwi Polacy cierpią za Ojczyznę...”.

Zapadła głęboka cisza rozbijana jedynie szlochem Mamy i cichym szelestem niani kończącej pakowanie węzełków⁴.

W promieniach słońca, przez które malowały się tańczące kurzowe witraże, mogliśmy zobaczyć, jak nasze życie rozpada się na kawałki. Zdjęcia z wakacji i pamiątki z rodzinnego domu teraz stały się bezwartościowymi echemi przeszłości. I choć byliśmy razem, uczucie osierocenia przeniknęło nas już na zawsze. Wreszcie wszystko było gotowe. Mama poprawiła chustę na głowie, bez słów spojrzała na nianię i tylko skinęła głową na pożegnanie.

Niania została w opustoszałym domu, który jeszcze wczoraj pachniał chlebem i kompotem z wiśni. Teraz ściany zdawały się chłodne, obce. Stała w progu, kurczowo ściskając rąbek fartucha, a jej oczy zasnuły łzy.

⁴ Węzełki – zawiniątka, tobołki.

– Idźcie – powiedziała cicho. – Ja tu jeszcze trochę pobędę.

Nie płakała. Może już nie miała sił. Ostatni raz obejrzałem się przez ramię. Widziałem ją – małą postać w cieniu sieni, w świetle bladego poranka.

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to było pożegnanie na zawsze. Że ten dom zniknie – nie tylko z naszej wsi, ale i z mapy świata, jakby nigdy nie istniał.

Ale pamięć o nim i rodzinnej wsi pozostała we mnie do dziś.

Przywieźli nas na peron kolejowy, gdzie już czekał długi skład wagonów towarowych. W jednym z nich mieliśmy przydzielone miejsce, na górnej półce koło zakratowanego okna. Wagon był wypełniony kobietami, dziećmi, starcami oraz stosem bagaży, który wznosił się aż po sufit.

Mama, z determinacją na twarzy, zdjęła złoty pierścionek, jedyny znak dawnego dostatku i serdecznych wspomnień. Oddała go, jakby rozstawiała się z kawałkiem własnego serca.

– Pozwólcie poszukać rodziny – odezwała się błagającym tonem do strażnika, który zabrawszy krążek, skinął głową.

– Idź.

Proste, rozkazujące słowo otworzyło przed nią drzwi do ciasnego świata nadziei. Długo nie wracała, a nasze dziecinne serca ogarnęła fala niepokoju tak wielka, że nie potrafiliśmy już dłużej milczeć – rozplakaliśmy się cicho, drżąc ze strachu.

– Nie płaczcie, bo rozstrzelam.

Rzeźbione ze stali słowa dosięgły naszych uszu i, chociaż strach bił mocniej niż kiedykolwiek, zrozumieliśmy: trzeba trzymać się razem, uspokajając mniejszego, młodszego, bardziej przerażonego. Oleńka spała, a Ala i Danusia szlochały cicho, każda skulona koło bagaży.

Wtedy Mama wróciła, malując na twarzy uśmiech ostatkami silnej woli.

– Są dziadek, babcia i wujek Julian. W tamtym wagonie.

Wskazała przez tłum, poprzez szpary między wagonami, na inny skład, równie przygnębiony ciężarem ludzkich dramatów jak nasz.

Wracając, przyniosła też kubełek wody. Obejrzała się i zobaczyła, jak ciocia Misia, kuzynka ojca, przemierza w pośpiechu peron. Stawia na betonie małą Helenkę, potem Zbyszka, taszczy bagaż, prowadzi Rysia za rękę, jak gdyby oprowadzała go po ogrodzie pełnym kwiatów, które mogły kwitnąć tylko w ukochanym domu.

A wujek...?

Pewnie zabrali go tak, jak naszego tatę – w nieznane.

Zobaczyła naszą Mamę, okrucami rosyjskich słów zwróciła się do Rosjanina:

– *Towariszcz, perepraszaju.*

Zamiast właściwego *izviniaju*⁵, jej przepraszam zabrzmiało na tyle niewinnie, że nawet ten chropowaty, pochmurny na twarzy strażnik podniósł głowę.

– Ja *chociem* w tamtym wagonie.

Wskazała na nasz. Strażnik odwrócił się, wyciągając chusteczkę i wydawało się, że otarł łzy...

– Brać dzieci! – Jego słowa były przesiąknięte litością. Ciocia, zebrawszy wszystkich, szybko przybiegła do nas.

Po załadowaniu pakunków i usadowieniu się, poczuliśmy pierwsze oznaki nowej, surowej rzeczywistości. W wagonie panowała ciasnota, zanim jeszcze dołączyliśmy do obecnych kilkudziesięciu osób, jednak z całych sił chcieliśmy zachować choćby pozory godności. Rozłokowani na drewnianych pryczach, spleliśmy się w ciasną społeczność, złączoną niewyrażonymi jeszcze więzami wspólnego losu.

⁵ Izviniaju, oryg. Извиняю (ros.) – przepraszam.

Nagle peron ożył odgłosem pieśni – hymn *Boże, coś Polskę* i *Serdeczna Matko* wzniosły się nad tym pejzażem rozpacz, stając się naszym ostatnim wołaniem o ocalenie.

Konwojenci brutalnie łamali ciszę, uderzając kolbami karabinów o metaliczną powierzchnię wagonu, jednak nasze głosy nadal płynęły, coraz bardziej rozpaczliwe, jak gdyby skazańcy płakali, żegnając ojczystą ziemię.

Pociąg ruszył o zmroku, szarpiąc nasze ciała i serca wiezione w nieznanym kierunku. W naszym składzie, rozciągającym się na pięćdziesiąt



Droga na zesłanie, rys. Dorota Pietruszka

wagonów, znalazło się ponad dwa tysiące ludzkich historii – głównie kobiet i dzieci – zastygłych w bezwolnym oczekiwaniu na to, co przyniesie przyszłość.

W czasie jazdy, którą przerywało jedynie dziwne uczucie nierealności i stukot kół na szynach, na zewnętrznych ścianach wagonów utworzyła się lodowa powłoka świadcząca o gwałtownym spadku temperatury na zewnątrz. Z każdym szarpnięciem lokomotywy woda, gotowana na skromnym, żelaznym piecyku – naszym jedynym źródle ciepła, dzięki któremu próbowaliśmy zapewnić sobie odrobinę komfortu – wylewała się na drewnianą podłogę i momentalnie zamarzała, tworząc śliską, groźną warstwę lodu.

Wokół otworu, który posłużył za latrynę, tworzył się wał kału i moczu. Smród, zaduch i resztki jedzenia z białymi, ruszającymi się larwami, zmieniały nasz wagon w miejsce praktycznie nie do zniesienia.

Moja Mama, blada niczym anioł w promieniach światła dochodzącego przez zakratowane okienka, trzymała małą Oleńkę na kolanach.

– Proszę pani, co robić? Znikł mi pokarm...

Rozpaczliwy głos młodej matki rozbił się od zaćmionych ścian wagonu. Bez namysłu Mama podała radę, którą kiedyś usłyszała od mojej babci:

– Weź okrusz chleba, połóż go na języku, dokładnie rozdrobnij śliną, aż zrobi się papka. Potem delikatnie podaj dziecku, żeby mogło to łatwo przełknąć.

To był prosty sposób, by choć trochę nakarmić niemowlę, gdy brakowało mleka.

Niestety, dziecko zmarło. Rozpacz matki i żałoba ogarnęły cały wagon.

To pierwszy cios, pierwsze żniwo śmierci, które tylko pogłębiło nasze cierpienie.

Nasza Oleńka cierpiała z powodu biegunki, a pieluch wystarczyło tylko na czterdzieści użyć. Wynaturzenie naszej sytuacji wymagało ponadludzkich rozwiązań – Mama suszyła pieluchy ciepłem swojego ciała, wykruszając pozostałości. I tak przygotowywała je do ponownego użycia.

Kiedy zabrakło nam wody, każda kropla stała się cenniejsza niż złoto. Przez kraty w wagonie odłamywaliśmy sople lodu i ssaliśmy jak najwyborniejsze cukierki.

O myciu się nie było mowy – na taki komfort nie mogliśmy sobie pozwolić.

Drzwi do naszego prowizorycznego domu z metalu były zamknięte na kłódkę, otwierane tylko raz na dobę, by dostarczyć nam wodę i opał. Gdy pociąg zatrzymał się w Smoleńsku, dostaliśmy kocioł z zupą,

w którym pływały buraki i kasza jaglana. Dzieliliśmy ten posiłek na ponad siedemdziesiąt dusz – porcje niewystarczające, ale przynajmniej ciepła stawa rozgrzała na moment nasze marznące serca.

Raz do naszego wagonu wszedł felczer. Popatrzył na nas i zapytał z obojętnością:

– Chorzy są?

Pytanie wydawało się tak oderwane od naszej rzeczywistości, jakby trafił tu z innego świata.

– Tak, dziesięciu.

– Nie widzę. Nic nie potrzeba.

Jego odpowiedź i odejście zamknęły drzwi do nadziei.

Moment, który zapamiętałem najbardziej z całej podróży, to ten, gdy musieliśmy „oddać” strażnikom trzy zmarłe osoby z naszego wagonu, które nie wytrzymały nieustającego zimna i innych niekończących się niewygód tej nieludzkiej wyprawy.

Z bólem w sercu usłyszeliśmy, jak konwojent obojętnym tonem zawiadamiał:

– Dawaj zdechłych.

Nie mieliśmy siły na protest, na łzy, na żalobę. Milczeliśmy.

Gdy chwyтали zmarłych za zsiniałe od chłodu nogi i wyrzucali ich ciała do rowu przy torach, w kącie duszy każdego z nas rodziła się niemal bezgłośna

skarga. Komentarze strażników, odzierające z ostatniej godności, wbijały się w nasze serca niczym kolce:

– Wilki też muszą coś jeść.

Pewnego dnia jeden ze starszych zesłańców wpadł na pomysł – groteskowy może, ale dający upust naszej rozpacz. Z innymi otoczyli naszą prymitywną „dziurę ubikacyjną” z czterech stron i zaczęli z niej zeskrobywać fekalia. Ci, którzy chcieli się załatwić, ustawiali się w kolejce, popędzani słowami zachęty pełnymi goryczy:

– Różnij, niech im g... zostanie.

Te słowa buntu brzmiały jak wyraz prawie zwierzęcej determinacji, pragnienia przetrwania. Choć nikt z nas nie był pewien następnego dnia, ukryty w tym akcie sprzeciw dawał poczucie, że nie jesteśmy jedynie bezsilnymi ofiarami, lecz nadal ludźmi, którzy mimo wszystko potrafią odnaleźć w sobie wolę walki.

Po wielu tygodniach ciężkiej podróży i utracie resztek nadziei na szybki powrót dotarliśmy na miejsce. Wypchnęli nas z wagonów jak zbyteczny ładunek. Trafialiśmy na ziemię jak marionetki pozabawione sznurków.

Światło głaskało nasze twarze, a powietrze, jakże świeże i lodowate niczym złowrogie tchnienie,



Transport na zesłanie, rys. Dorota Pietruszka

przesycone chłodem i pyłem stepowym, zarazem oczyszczało płuca, jak i je raniło.

Nadzorca, strzelając batem, co chwilę krzyczał: *bystriej*⁶ i brutalnymi ruchami ustawiał nas w rzędach. Ani jedno westchnienie, ani jedno pytanie nie padło z naszych ust.

Z każdej strony otaczały nas obce rodziny, które w obliczu wspólnej tragedii stawały się najbliższymi. Padało. Danusia, która siedziała, osłaniając mnie, mokła jeszcze bardziej niż reszta. Jej chusta – znak jej młodzieńczego ducha – stała się niczym innym jak ciężką, przemoczoną

⁶ *Bystriej*, oryg. Быстрый (ros.) – szybciej.

szmatą przylegającą do jej smutnych, zapadłych policzków. Z oczu zniknęła iskra – zostało tylko zamglone spojrzenie, pełne myśli, których wolałem sobie nawet nie wyobrażać.

Załadowali nas na ciężarówki. Pędziliśmy po rozmokłej drodze, niebezpiecznie tańcząc na stromych wzniesieniach. Świat na zewnątrz rozmyły strugi deszczu, a widok ośnieżonych szczytów Uralu szedł w parze z koszmarem, który właśnie się rozgrywał.

Piękno i groza...

W pewnym momencie z paki jednej z ciężarówek wypadł tobolek z naczyniami. Powietrze przerwał krzyk i płacz jednej z kobiet, która bezsilnie obserwowała, jak resztki jej dawnego życia roztrzaskały się na błotnistej ziemi. Kierowca, którego twarz nie wyrażała żadnych emocji, jedynie się zaśmiał:

– Wreszcie będę miał co zabrać do domu w drodze powrotnej.

Wjechaliśmy do doliny. Wydawało się, że przekroczyliśmy granicę do innego, niemalże bajecznego świata. Wokoło, na rozległych łąkach, rozciągało się morze dzikich tulipanów: białych, żółtych, bordowych z czarnymi deseniami, które tańczyły lekko na wietrze – odważne, mimo porywającego je deszczu. Nawet w tej podróży do zimnej, surowej Syberii, natura przesyłała nam pokrzepiającą

wiadomość – spektakl o życiu podążającym własną drogą bez względu na tragedie i ludzkie dramaty.

Zaniemówiliśmy. Słowa były tu niepotrzebne. Każdy z nas chłonał pejzaż z osobistej, izolowanej komory swojego umysłu, wiedząc, że ani piękno przyrody, ani całun smutku nie są w stanie wyrazić tego, co naprawdę czuliśmy.

Piękna i przerażająca droga do naszego nowego, przymusowego domu w głębi lodowatego serca Syberii. Tu śmierć nie była cichym złodziejem, który kradnie życie, lecz towarzyszem dnia i nocy wiszącym nad losem każdego z nas niczym ponure przypomnienie, że istnienie jest tu równie kruche, co isierka ciepła w środku zimy. Tam, gdzie kończyły się mapy, zaczynało się nasze nowe życie – życie bez wyboru, bez nadziei, zbudowane z codziennej walki o przetrwanie.

Niebo zdawało się wisieć niżej; jakby przygniatało nas ciężarem wspomnień i niewypowiedzianych modlitw. Czas płynął inaczej: dni zlewały się w bezkształtną, białą masę, w której gubiło się poczucie tożsamości. A jednak wśród tej bieli, wśród szarości głodu i beznadziei rodziło się coś niezwykłego – cicha solidarność. Spojrzenia, gesty, półsłówka – to zaczęło znaczyć więcej niż kiedykolwiek wcześniej.

Chociaż zabrano nam wszystko, czego można było dotknąć – ziemię, domy, bliskich – nie zdołali wyrwać z nas jednego: pragnienia, by przetrwać. I może właśnie w tym pragnieniu, w tej uporczywej, cichej walce, odnaleźliśmy część wolności – ukrytą głęboko, gdzie nie sięgały lód ani strach.